

Niezapomniany autor „Zaczarowanej dorożki”

Rok temu, wielu spośród tysięcy ludzi, słuchających dziennika wieczornego, odczuło nagły skurek serca: speaker podał wiadomość o śmierci Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego. Jakże często, po chwili zadumy, przechodziliśmy nad smutną wieścią do porządku dziennego — wówczas gdy nie stanowiła ona dla nas osobliwego ciosu.

Tu jednak stało się inaczej. Do redakcji „Nowej Kultury” i „Przekroju”, gdzie poeta najczęściej drukował swoje utwory, zaczęły napływać stosy listów, bardzo dziwnych, ściśle prywatnych zwierzeń, jakich nigdy nie przynosił zwykła pocztą redakcyjna. Obok zaprzyśięgłych miłośników Gałczyńskiego, pisali ludzie, mający na codzień zupełnie luźny kontakt z poezją: żołnierze, kolejarze, technicy, naukowcy, gospodynie domowe, młodzi i starzy. Każdy na swój sposób wyrażał swe uczucia z powodu straty bliskiego przyjaciela, którego przecież wcale nie znał osobiście.

Powiedziałbym, że samą postacią Gałczyńskiego interesowano się za jego życia dosyć słabo — wystarczająco w zupełności jego wiersze. Odwrotnie niż się to dzieje z wieloma innymi, którzy brak talentu, szarość i pustkę starają się wyrównać ustawicznym przypomnianiem o własnej osobie.

Znamy wiersze, piosenki, fragmenty, które w różnych okolicznościach przystają do ludzi i potem już nawet odpędzane, nie odchodzą. Taka była prawie cała poezja Gałczyńskiego. Zje nyma najbardziej oschłych, pomagała upadłym na duchu, towarzyszyła wiernie zakochanym. Czym wytłumaczyć to trudne do pojęcia zjawisko, przeobrażające się w cztero- i ośmiowierszy, składające się ze zwyczajnych, powszechnie zrozumiałych słów?

Otóż nie odgrywały tu żadnej roli tajniki warsztatu alchemika. Prawdziwą poezję określa zawsze pewien odrębny, żyjący organicznie w człowieku sposób widzenia świata, dar wykrywania w nim nowych związków między rozmaitymi elementami, a przede wszystkim — między samymi ludźmi. Dlatego myślałem o Gałczyńskim głównie czarnoksiężniku, kuglarza, specjalistę od wywoływania nastrojów. Efekty te, cała bogata ornamentacja jego wierszy, wynikały bezpośrednio z ruchu wyobraźni, wielkiej, od kryjącej nowe obszary doznań, a przy tym tak mocno związanej z powszednimi ziemskimi sprawami.

Gałczyński zrehabilitował sentymentalizm, będący od dziesiątków lat domeną eklektycznych wierszopisów. Podniósł znowu do rangi wielkiego arcyzmu ten pozornie przebrzmiały styl, przeświecający tematy utworów podziwem, tkliwością, ukochaniem drobnych ludzkich spraw. Małe, uchodzące często uwadze szczegóły życia, to co nadaje naszym dniom smak i barwę — znalazły w Gałczyńskim swego plewce, jedynego w swoim rodzaju. A przecież potrafił też uderzyć w wielki dzwon, o ilej lepiej i skuteczniej od tych, którzy nauczyli się pisać wiersze, wprowadzić gromkie, ale szleszczące przeważnie papierem.

Przedsięwzięto dotychczas bardzo niki próby w kierunku zbadań tego niezwykłego kruszcu, jaki jest twórczym wierszem Gałczyńskiego. Również poczynania wydawnicze pozostawiają wiele do życzenia.

Warto pomyśleć o tym, aby w przyszłych zapowiadanych już publikacjach Gałczyńskiego znalazł się jakiś rzetelny wybór jego dzieł, a z niezrozumiałych przyczyn przemilczanych wierszy wojenno-obozowych,

wiązka „Listów z fiołkiem” i „Zielonych gęsi”. Godna rozważenia jest też sprawa wydania jego przedwojennej powieści satyrycznej „Porfirion Osielek”.

Książki poetyckie, układane pod pewnym wąskim kątem, wyrządzają — jak się to rychło okazuje — krzywdę autorom oraz czytelnikom, a szczególnie już zniekształcony obraz otrzymujemy w wypadku poety o tak rozległej skali talentu, jak Gałczyński.

Stefan Rymarz



K. I. Gałczyński

Wesoła gwiazdka

Zakochani idziemy pod rękę pod światłem Wielkiego Wozu. A pamiętasz czarną udrękę, gdy listy pisałem z obozu?

W snach jedynie widziałem wtedy twoje oczy, Wisłę i most — o, dni pełne strachu i biedy, o, Kriegsgefangenenpost.

Tyle lat zmarnowanych w udrękę — jak dwie siostry: groza i nuda. Księżyc wisiał jak srebrne serce na niemieckich kolejastych drutach;

rzekę bólu do dna wtędam pojął i płynęły noce i dni, z widłami w niemieckim gnoju lub na przyrach w Strafkompagnie.

A dzisiaj przynosi noc nam pocałunki i winogrona, i szumi jak wieczna wiosna flaga, flaga biało-czerwona...

I znów ta uliczka pochyla i tych klonów pod śniegiem rząd. Wesołych świąt, moja miła. Miła moja! „Wesołych Świąt”!

(Wiersz napisany w Poznaniu, w grudniu 1948 r.)

Warszawa - Calais na DWÓCH KOŁACH

Rok 1960. Piękny, wiosenny dzień.

W Berlinie od wczesnego rana tysiące ludzi zdążają do kolejek podziemnych, aby wziąć udział w wielkiej międzynarodowej uroczystości. Już kilka dni goszczą tu przedstawiciele Polski, Francji i Belgii.

W Calais, Poznaniu, Brukseli, Kolonii i Warszawie tak samo jak w Berlinie tego dnia zgromadziło się tysiące ludzi. Dziś nastąpi otwarcie gigantycznej autostrady wiążącej narody i kraje. Biegnie ona z Warszawy przez Poznań, Berlin, Kolonię, Brukselę — aż do Calais.

Najlepsi inżynierowie i konstruktorzy w zakładach samochodowych „Einheit” (NRD) już od kilku miesięcy zajęci są problemem zbudowania nowego dalekobieżnego autobusu, który pomieści 145 pasażerów i 2 kierowców, a poza nimi radiotechnika i 2 bufetowych. Autobus powinien rozwijać szybkość 200 km na godzinę w warunkach całkowitego bezpieczeństwa i zużywać niewiele paliwa.

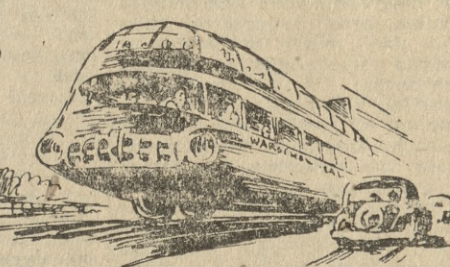
Wszystkie istniejące dotychczas typy wozów dwu- i trzyosobowych oraz gasienicowych nie osiągnęły — przy zachowaniu warunków pełnego bezpieczeństwa — szybkości 200 km na godzinę. Projekt inż. Scheffera (z propellerem powietrznym) nie zdał egzaminu z uwagi na szkodliwe działanie kurzu i pyłu śnieżnego. Projektodawca nowego autobusu dalekobieżnego inż. Zeibert, będąc na motocyklowych zawo-

dach, podpatrzył bieg „pięćsetki”, która rozwija wielką szybkość, mając tylko dwa koła. Spostrzeżenie to stało się podstawą projektu konstrukcji nowego typu autobusu.

Model autobusu — giganta naszej konstrukcji — mówił inż. Zeibert — oprócz dwóch kół umieszczonych jedno za drugim, posiada koła pomocnicze, które stosowane są tylko na postoju lub przy zwolnionym biegu. Największe trudności mieliśmy z problemem utrzymania autobusu w równowadze w czasie biegu. Trzeba było poza tym poczynić zmiany w aerodynamicznym przewodzie i skonstruować specjalną poziomą kierownicę, aby można było wyrównać przechył powstający na skutek bocznych wiatrów.

W wypadku zachwiania równowagi autobusu, gdy pasażerowie stoczą się po jednej stronie wozu, w autobusie znajduje się automatyczny równoważnik. Gdy i to nie wystarcza, przy przechyleniu powyżej 5 stopni, automatycznie wysuwają się koła pomocnicze.

Oto generalna próba. Olbrzymi autobus stoi na autostradzie. Inżynierowie i technicy zajęci są ostatnimi przygotowaniami. Silny „Diesel” pracuje na pełnych obrotach. Za radą młodych inżynierów mieści się on w pośrodku wozu. W tylnej kabinie znajduje się radiostacja, która nadaje pasażerom wiadomości ze świata i przyjmuje od nich telegramy.



Flaga na start! Maszyna lekko drgnęła i płynnie ruszyła naprzód. Po 50 m kierowca przestawia motor na szybkość. Po 600 m maszyna idzie już na płatym biegu. Autobus mknął coraz szybciej. Inż. Kupert spogląda na szybkościomierz. Po 1.000 m szybkość wynosi 120 km na godzinę. Jeszcze chwila i kierowca przerzuca szósty bieg. Zapalają się zielone światełka lampek i po mocnicze koła wciągają się do wnętrza wozu. Strzałka szybkościomierza wskazuje 140 km/godz. Inżynierowie sprawdzają wahania autobusu. Są one niezauważalne. Na płatym kilometrze biegu szybkościomierz wykazuje 230 km/godz.

Nowy typ autobusu zasadniczo zdał egzamin. Inżynierowie poczynili jeszcze pewne zmiany w konstrukcji, a potem zakłady samochodowe „Einheit” rozpoczęły produkcję seryjną tych wozów. Będzie to z pewnością najdogodniejsza i najszybsza komunikacja autobusowa na świecie.

Lecz jeżeli chcemy, aby obraz, którym rozpoczeliśmy ten reportaż, stał się rzeczywistością, aby autobus-gigant ruszył w dalekobieżną podróż z Warszawy do Calais — musimy walczyć o pokój i przyjaźń między narodami.

Autostrada Warszawa — Poznań — Berlin — Calais nie jest jeszcze otwartą...

(Wg czasopisma „Jugend und Technik” — opr. Fr. H.)

PO TRZYSTU LATACH

przyjemnie siedzi się w ciepłej izbie, gdy za oknami hula jesienny wiatr. Rozmowa z początku jakoś się nie kleiła. Wyczerpało się już zagajenie o stanie pogody. Pogodę, a raczej niepogodę, czuło się w kościach. Być może, że w nawiązaniu żywszej wymiany myśli pomógł papieros. Tadeusz Ratajczyk zaczął mówić o sprawach codziennych, prostych. O tym, jak jego gromada (jest w niej sołtysiem) wypracowuje radosną przyszłość.

Bo przeszłość podkoniejskiej wsi Kowalewo choć ciekawa, jest raczej smutna.

Na początku był las. Gęsty nieprzejrany. Sikiery pierwszych osadników, którzy odważyli się tu założyć sadyby, wdzierały się z wielkim trudem w mocną dębinię. Potem pracowite, chłopie ręce chwyciły się pług. Dziś tylko gdzieś ujrzyć jeszcze ślad wielkiej puszczy. Wszędzie rozciągają się uprawne pola.

Inny ślad przeszłości Kowalewa pozostał w zapiskach historycznych, starych kronikach i ustnej tradycji, przekazywanej z pokolenia na pokolenie. Tradycji chlubnej, owianej duchem bohaterstwa dawnych mieszkańców tych okolic.

W kronice Alberta Viminy — księdza ze święty Jana de Torres — nuncjusza papieskiego w Polsce, oraz w innych zapiskach ówczesnych, znajdujemy opisy powstania chłopie przeciw panom feudalnym w 1651 r. Wieści o walce wyzwoleniczej narodu ukraińskiego pod wodzą Bohdana Chmielnickiego rozeszły się szybko po Polsce, budząc u naszych chłopów pańszczyżnianych nadzieję. Emisariusze-agitatorzy docierali do chłopie chat niosąc słowa prawdy o magnackim ucisku i krwawych walkach z kresowymi królewiami. Powstali chłopie Podhala, ruszyli się Wielkopolska. Przywódca powstania wielkopolskiego — Piotr Grzybowski — rozwinął plan wystąpienia chłopie, głównie we wsiach biskupich i opackich, leżących między Ciałeniami a Ładem w ówczesnym województwie kaliskim.

W czerwcu 1651 r. do wsi Kowalewo, Jaroszyn, Łądek i Wola Łędzka zaczęły się zbierać uzbrowione w kosy i piki oddziały chłopie. Bunt rozszerzał się na bliższą i dalszą

Władysław Michalski

okolice. Powstańcy — jak pisze współczesny tym latom Rudawski — pociągali pod miasteczko Łąd — siedzibę opata. Zaniepokojeni tym feudalowie przeciwstawili li-cho uzbrowionym chłopom swe wyćwiczone wojska. M. in. dla obrony opactwa biskup Kazimierz Florian Czartoryski przysłał 200 dragonów, a król Karol Ferdynand ścigał z Warszawy 300 konnych. Tym dwoma oddziałami opat ładzki zaatakował las królikowski. Długo trwała krwawa bitwa. Dopiero z największym wysiłkiem udało się złamać opór walczących o sprawiedliwość chłopie. Wielu przywódców ruchu stracono. Wielu uiszło do lasów.

Nieraz jeszcze chłopie kontingency chwytały za broń, by bić się o swe słuszne prawa, o wolność osobistą, o swo-

po upadku caratu władzę w Polsce objęli obszarnicy i fabrykanci.

Chłopi gnębieni nadmiernymi podatkami i stałymi wizytami sekwestratora, zgłaszali się setkami do wyjazdu zagranicę. Wędrowali „na Saksy”, do francuskich kopalń, do gorących puszcz Brazylii. Gorzki był ten emigracyjny chleb. Może coś o tym powiedzieć i Stanisław Kolański, obecny sekretarz KG PZPR w Łądku, Stanisław Kwaśny, Roman Makoszyński i wielu, wielu innych.

A ci, którzy pozostali, a dla których ziemi nie było? Pracowali za psie pieniądze. Strajkowali. Tak było na przykład u Golezów w Ratyniu, u Nelkena w Ładzie. Właściciele tych majątków mieszcami nie wypłacali i nie wydawali deputatów. Do tego doszło, że rodzina Maksymi-



Tadeusz Ratajczyk, sołtys Kowalewa przed siedzibą nową Gromadzkiej Rady Narodowej.

Fot. K. Przychodzki

bodę narodu. Nie zabrakło ich w szeregach powstańców 1831 roku, walczyli i ginęli w 1863. Po klęsce powstania styczniowego szubienice ustawione na rynku w Koninie miały odprężyć bunt przeciw carskiej przemocy.

Wszyscy w okolicy znali przed wojną starego Nowiszewskiego z Łądka, zwanego popularnie „kosynierem”. Był to nieżyjący już dziś uczestnik powstania styczniowego w okolicach Kowalewa. Poszedł walczyć nie tylko o wolność narodową, ale także sprawiedliwość dla wyzyskiwanego chłopstwa. Jednak nie się przez następne dziesięć lat nie zmieniło w jego doli młodego chłopie i tysiące jemu podobnych

liana Kolańskiego musiała długi czas żywić się placuskami z otręb, żeby nie umrzeć z głodu.

Zmieniło się po hitlerowskiej okupacji. Nowa władza, ludowa, dała chłopom pańską ziemię, przywróciła poniewieranym ludzką godność. I Kolański otrzymał z rozparcelowanego majątku w Ratyniu 7-hektarową działkę.

Sołtys Ratajczyk z Kowalewa opowie wam, jak toczy się dziś życie w jego wsi i okolicznych gromadach. W tym roku mieszkańcy 15 gromad wybudowali w czynnie społecznym 6-kilometrowy od cinek szosy Łądek—Rokosz. W planie było również umocnienie polnej drogi prowadzącej przez gromadę Kowalewo—Sołectwo. Chłopi zwieźli nawet materiał, przegotowali paliki, co, kiedy znalazł się w Prezydium GRN w Łądku ktoś, kto nie chciał im pomóc. A przecież chodziło o niewiele: o brukarza i techniczną dokumentację.

Szkoła kowalewska korzysta na razie z gościnny w remizie strażackiej. Ciasno jej tam i niezbyt wygodnie. Przedwojenny budynek spalił się w czasie hitlerowskiej okupacji. Po wojnie chłopie z Kowalewa i Poniatówka utworzyli komitet budowy szkoły. Sami wypalili 45 tys. sztuk cegieł, postarali się o blachę na pokrycie dachu. I znów sprawa utknęła. Prezydium PRN w Koninie nie umieszcilo w planie budowy tej szkoły. Nowa gromadzka rada narodowa w Kowalewie będzie więc miała robotę.

Ratajczyk spojrzal kątem oka na zegar. Zrobił to — trzeba przyznać — dyskretnie. Znak jednak, że pora się żegnać. Już na odchodnym życze jeszcze sołtysowi, a w jego osobie i wszystkim mieszkańcom gromady Kowalewo spełnienia wszystkich zamierzeń, a więc przyspieszenia budowy szkoły, doprowadzenia elektryczności, pobudzenia ośpałego jeszcze życia kulturalnego.

Wierze, że energia przyszłej gromadzkiej rady oraz współpraca wszystkich kowalewian zamieni wkrótce zamierzenia te w rzeczywistość.

Uszanowanie XII Muzie!

(Od własnego korespondenta z Warszawy)

Gęstniejący za oknami wieczór ściaga do świetlicy coraz więcej ludzi. Z niecierpliwym szuraniem podsuwają oni fotele i krzesła ku jednemu z zacisznych kątów lokalu, gdzie na niskim stoliku ustawiono brązową skrzynkę.

W licznej grupie około 30 radiosłuchaczy — przepraszam — radiowidzów śladamy wokół jednego z 200 pracujących obecnie w Warszawie odbiorników telewizyjnych. Jeszcze chwila — i oto biały, nieruchomy ekran poczyną drgać seledynowym światłem, przecinanym czarnymi liniami. Na ekranie pojawia się herbowy znak Warszawy — Syrena. I zaraz potem twarz spikera:

— Dobry wieczór, radiowidzowie! Warszawski Ośrodek Telewizyjny rozpoczyna swój cotygodniowy program.

Doświadczalny — ale już niedługo

Młoda telewizja polska rozwija się z każdym dniem. Polscy technicy i inżynierowie, korzystający z bogatych doświadczeń radzieckich, codziennie uparcie pracują po to, by XII Muza stawała się coraz bardziej popularna, by

jeszcze więcej ludzi mogło oglądać radioekrany. Dzięki ich wysiłkom warszawska testacja szybko zbliża się do momentu, kiedy będzie można w tymczasowej nazwie Doświadczalny Ośrodek Telewizyjny wykreślić przymiotnik „doświadczalny”.

Ostatnim osiągnięciem naszej telewizji jest — jak wiadomo — tzw. telekino, skonstruowane w kraju i pozwalające na śledzenie w programie telebiskopii spektakli filmowych. Do października br. entuzjaści telewizji oglądać mogli jedynie występy transmitowane bezpośrednio z kamery studia. Były to fragmenty ciekawych sztuk, popisy wokalne, występy wykonywane przez przodujące zespoły świetlicowe. Obecnie — radiowidzowie, poza tego rodzaju seansami, podziwiać mogą interesujące filmy.

Przyszły rok przyniesie polskiej telewizji jeszcze jeden sukces. Oto bowiem warszawskie studio wzbogaci się o wóz transmisyjny. Na ekranach odbiorników przesuwać się będą atrakcyjne teleaudy

cje, nadawane wprost z sal koncertowych, stadionów, hal fabrycznych.

Sprawa nie jest prosta

Program warszawskiej stacji telewizyjnej dobiega końca. Ktoś szybkim ruchem zapalił w świetlicy światło. Wszyscy obecni zaczynają nagle gorąco dyskutować. Co? Jak? Ile? Dlaczego? — krzyżują się jedno po drugim naturalne pytania. Są w nich wątpliwości, które na pewno trapią w tej chwili także naszych czytelników:

— Tak, ale przecież nie wszyscy mogą się cieszyć oglądaniem telewizji...

Pospieszmy zatem uspokoić niecierpliwych! Istotnie, nie wszyscy jeszcze możemy oglądać programy telewizyjne, ale również nie wszyscy wiemy, że nie jest to zbyt prosta sprawa...

Fale ultrakrótkie mają nogi zbyt krótkie

Pamiętać musimy, że telewizja, będąca u nas w stadium doświadczalnym, technicznie różni się zasadniczo od normalnych urządzeń radiowych. Największą trudnością sprawia fakt, że fale ultrakrótkie, wykorzystywane do przenoszenia programu telewizyjnego, posiadają mały zasięg zaledwie kilkudziesięciu kilometrów... Stąd więc obsłużenie całego kraju — wymaga zbudowania gęstej sieci lokalnych nadajników.

Dalsze zadanie — to przy-

gotowanie fachowych kadr: techników, inżynierów, reżyserów, spikerów, aktorów i wielu innych specjalistów.

Trzeba poza tym pomyśleć, jak rozwiązać np. problem dziennika radiowego, którego chętnie słuchamy za pośrednictwem zwykłego radia. W telewizji kilkuminutowe oglądanie twarzy spikera czytającego wiadomości — staje się w końcu nudne... Trzeba z wielką umiejętnością pokonywać wiele innych podobnych przeszkód. Dlatego więc każda nowa teleaudycja warszawskiej telewizji — to bardzo ważna lekcja.

Programy Warszawskiego Ośrodka Telewizyjnego stają się wciąż lepsze i ciekawsze. Wymowne odbicie znajduje to w opinii radiowidzów. Ostatnio dokonana adaptacja jednoaktówki Bertolda Brechta pt. „Karabiny matki Carrar” całkowicie opinię tę potwierdza.

Kiedy w Poznaniu?

Warszawa od kilku tygodni nadaje 2-godzinny program telewizyjny — we wtorki i piątki. Audycje studia, mieszczącego się na najwyższym piętrze hotelu „Warszawa” (dawniejszy Prudential) trafiają do coraz większej ilości anten telewizyjnych, które jeszcze przed dwoma laty zliczyć można było na palcach.

Kolejną telebiskopię otrzyma Śląsk. Potem, być może, Poznań. Kiedy? Trudno to w tej chwili przewidzieć. Kilka lat będziemy jeszcze zazdrościć Warszawie. Być może, po ich upływie również poznaniacy oglądać będą lokalne teleaudycje.

BOMBY NAD ANGLIĄ?!

Sir Winston Churchill siedział na ławie rządowej Izby Gmin z opuszczoną głową, podobny do sfinksa, któremu lada chwila grozi atak apopleksji. Ten wielki imperialista, który oświadczył nie tak dawno, że nie po to został premierem, aby „likwidować Imperium Brytyjskie” — musiał tego dnia słuchać słów ostrej krytyki. Toczyła się właśnie debata nad zawartym przez jego rząd układem przewidującym, że wojska brytyjskie opuszczą bazy zajmowane dotychczas w strefie Kanału Sueskiego.

Tak zaczyna się książka pt. „Bomby nad Anglią” napisana przez E. Hughesa, labourzystowskiego posła do Izby Gmin.

Churchill nie miał przemawiać tego dnia, ale kiedy w toku debaty zarzucono rządowi brak szczerości, poprosił o głos i oświadczył m. in.:

— Nie należy zapominać o olbrzymich zmianach, jakie są szły w sytuacji strategicznej na całym świecie. Gdybym po trafili nakreślić obraz wojny atomowej, to jestem przekonany, iż wytłumaczyłbym Izbie nie tylko to, że nasze bazy w Egipcie są rzeczą przestarzałą, lecz także to, że musimy zmienić całą naszą strategię. Ze trzeba próbować zmienić cały układ stosunków między narodowych.

Wtedy z ław poselskich posypały się pytania:

— Jeżeli wybuch bomby w dorowej może sprawić, że cała strefa Kanału Sueskiego stanie się bezużyteczna z punktu widzenia wojskowego, to jakie szanse przetrwania wojny mają Portsmouth, Manchester i Londyn? Jeżeli bomba wodorowa obrońca w niwec koncepcje naszej strategii imperialnej i militarnej, to nasza armia lądowa i marynarka, na które wydaliśmy po drugiej wojnie światowej tak kolosalne ilości pieniędzy, również stały się czymś całkowicie przestarzałym? Celem każdej armii jest bronienie swego kraju przed inwazją, ale nasze miasta i ośrodki przemysłowe mogą być zburzone bombami wodorowymi, a miliony ludzi mogą zginąć, chociaż nie będzie żadnej inwazji?

Churchill nie umiał odpowiedzieć na te pytania.

— Zezwalając Amerykanom na założenie bazy atomowej we wschodniej Anglii — rzekł — staliśmy się celem, a być może głównym celem ewentualnych ataków lotnictwa nieprzyjacielskiego, a skutki w wypadku wojny mogłyby być dla nas o wiele potworniejsze niż to, czego doświadczaliśmy kiedykolwiek dotychczas.

Jakież wobec tego — pyta autor książki — ma przed sobą widoki naród brytyjski?

Absolutny nonsens

Czy robimy słusznie wydając przeszło 353 miliony funtów szterlingów rocznie na marynarkę wojenną? Przecież Churchill oświadczył, że okryty wojenne nie mają żadnej możliwości bronięcia się przed bombami atomowymi. Brytyjskie władze wojskowe przeprowadziły doświadczenie, w którym wybuch bomby atomowej na pokładzie okrętu wojennego, o którym nie zostało z tego okrętu, po prostu stopił się, ułotnił w postaci gazu.

Nasze wojska lądowe są rozrzucone po całym świecie: w Korei, Kenii, na Malajach, w Gujanie, w Niemczech zachodnich i w przeszło 20 bazach, lecz na samych wyspach brytyjskich nie ma ich prawie wcale. Jak przyznał minister spraw wojskowych, 80 procent armii lądowej znajduje się poza granicami kraju. W razie wybuchu wojny żołnierze ci nie mogliby bronić swej ojczyzny, chociaż ich rodziny w Anglii byłyby narażone na największe niebezpieczeństwo — na bombardowanie atomowe. Liczba ofiar wśród ludności cywilnej, oświadczył niedawno marszałek Montgomery, byłaby o wiele większa niż w szereżach armii. Ale — jeśli armia lądowa nie jest w stanie bronić ojczyzny, to po co w ogóle istnieje? — pyta autor książki pt. „Bomby nad Anglią”.

Marszałek Montgomery podkreślił też, że lotnictwo radzie-

kie jest wciąż potężniejsze od brytyjskiego. Nawet, jeśli posiadamy lotnictwo, które może dokonywać niszczyielskich na lotów — pisze Hughes — nie znaczy to bynajmniej, że mamy środki, zapewniające nam bezpieczeństwo przed nalożnymi nieprzyjacielskimi, przed zrzuconiem na Wielką Brytanię bomb wodorowych, których wybuchy uczyniłyby z naszej wyspy wielki cmentarz, usłany górami radioaktywnych gruzów. W ogóle cała nowoczesna wojna byłaby absolutnym non sensem!

Teoria próżni

W 1951 r. uchwalono w Wielkiej Brytanii trzyletni program zbrojeniowy, którego koszt wynosił 4700 milionów funtów. Podkreślano, że celem tego programu jest „dopędzenie Związku Radzieckiego w dziedzinie zbrojeń”. Mamy obecnie rok 1954 — pisze Hughes — ale marszałek Montgomery zapewnia nas, że ZSRR w dalszym ciągu jest silniejszy od nas. Co więcej, Związek Radziecki ma obecnie bombę wodorową. Wszystkie nasze zbrojenia nie zmusiły bynajmniej ministra Molotowa do „bezwzględnej kapitulacji” na konferencji berlińskiej w styczniu br.

Czegoż chce Związek Radziecki? — pyta Hughes — i tak odpowiada:

Związek Radziecki chce, aby Niemcy były neutralne, aby nie mogły one przygotować wojny odwetowej przeciwko ZSRR i ich wschodnio-europejskim sąsiadom, aby Niemcy nie zagrażały pokojowi w Europie.

Dlaczego Wielka Brytania nie miałyby zgodzić się na tę koncepcję? Powiada się, że Niemcy nie mogą być „próżni”. Jak gdyby kraj, który po święta swe siły, swe bogactwa, swą wiedzę techniczną i swój talent organizacyjny budował pokojową gospodarkę i teraz nową, zdrowszą cywilizację — mógł być określony jako „próżnia”.

Strategia... schronowa

Mimo olbrzymich wydatków na zbrojenia — konkluduje Hughes — jesteśmy w gorszej sytuacji niż... Irlandia, która praktycznie rzecz biorąc w ogóle się nie zbroi, a jesteśmy w gorszej sytuacji dlatego, że na naszym terytorium znajdują się bazy uważane przez pewne kraje za niebezpieczne dla nich. Jeżeli musieliśmy opuścić Kanał Sueski z powodu wynalazku bomby wodorowej nowego typu, to dlaczego Amerykanie nie opuszczają Wielkiej Brytanii?

Prasa podała niedawno, że w odległości kilkudziesięciu kilometrów od Waszyngtonu wydarty został w skale specjalny schron dla amerykańskiego sztabu generalnego. Budowa tego schronu kosztowała przeszło 30 milionów dolarów. Stąd, w całkowitym bezpieczeństwie, sztab amerykański ma pobożny zamiar kierować operacjami „trzeciej wojny światowej”. Ale nie jest to żadna pociecha dla Anglików, na których spadałyby bomby wodorowe...

W wyniku wojny atomowo-wodorowej nie byłoby zwycięzców, pozostałoby samą zwyciężeni — kończy Hughes. „Wojna światowa oznaczałaby dziś powszechne samobójstwo, oznaczałaby zagładę naszej cywilizacji”. Nie ma żadnych podstaw do twierdzenia, że Związek Radziecki zamierza zaatakować państwa zachodnie. Chce on jedynie mieć pewność, że Zachód nie czyni przygotowań do rozpoczęcia agresywnej wojny przeciwko niemu. Losy ludzkości zależą od tego, czy zdołamy uniknąć trzeciej wojny światowej.

Obowiązkiem każdego człowieka jest walka o pokój.

Cóż innego głosimy niestrudzenie od lat dziesięciu? Dobrze, że angielska opinia publiczna zaczyna tę fundamentalną prawdę pojmować.

Lepiej późno niż nigdy. WIDZ.

Ze starych szpargałów

Święty Ubald i szczury

Podajemy za Władysławem Stachowskim (Kronika gosińska, tom IX, nr 2) sposób wypędzania myszy i szczurów za pomocą zażegnania z XVIII wieku.



„... Wyklinam was i rozkazuję wam, myszy i szczury, aby wam to miejsce tak straszne było, jako będzie sędziom niesprawiedliwym, kiedy staną przed sądem Sędziego Sprawiedliwego”.

Zapisał sobie tę formułę nie kto inny jak ówczesny proboszcz kroski ks. Wolniewicz. Czy metoda ta pomogła? Kto wierzy niechaj spróbuje.

Co czytał król pruski?

Rejencje pruskie w latach 1793—1807 podawały co miesiąc królowi wiadomości ze swego terenu. Podajemy niektóre z nich za Kroniką gosińską (I, II, 1938). Dotyczą one wyłącznie naszego województwa.

„Rok 1801. Styczeń. W Gostyniu i Koźminie stracił życie dwaj ludzie, którzy przekroczyli miarkę w picu gorzałki.”

Rok 1802.

Grudzień.

„Do historii kultury polskiej musimy jeszcze najcięższej nadmienić, że Mycielski na Kobyliem polu w przeszłym miesiącu spowodował z Parzy 6 wielkich skrzyn z najwyszukan-

szymi i najpiękniejszymi gatunkami francuskich owoców i kazał je posadzić w swoich ogrodach. Drzewa te miały go kosztować przeszło 1500 talarów.”

1803. Styczeń. „Kilka biednych dzieci przypłaciło życie głupotą rodziców, którzy posłali je do najbliższego kościoła do chrztu”. W ową zimę termometr wskazywał poniżej 30 stopni mrozu.

Jesienią tego roku byli skurczy, na wyuzdanie i nieposłuszeństwo klasy służebnej”. Kamera poznawsza — jak podaje w artykule Ed. Klimkowski — wyraziła nadzieję, że „temu złu” położy kres, wkrótce tamę przez wydanie ordynacji dla służby.

Ano — ta „nieszczęsną” rewolucja francuska i „rebelia” kościuszkowska w naszym województwie również znalazły posłuch u ludzi wyzyskiwanych.

WYSTAWA ciekawych fotografii

Starzy poznaniacy pamiętają zapewne, że gdzieś od roku 1926 nazwisko Tadeusza Wańskiego (zamieszkałego obecnie w Cyni) zaczęło wpływać coraz częściej na wystawach i konkursach fotograficznych w kraju i zagranicą. Już sama cyfra czterdziestu przeszło nagród z tych wystaw i konkursów przed wojną świadczy dobitnie, że talent Wańskiego znalazł w świecie artystycznym nie byle jakie uznanie. Obecnie zaś częste nagrody i zakupy prac tego fotografa są dowodem, że artysta pracuje nadal i przynosi chlubę naszemu krajowi.

Na wystawie w CBWA prace dawniejsze widzimy przeważnie w tzw. technikach szlachetnych (guma, przetłok, carbro), które już dziś mniej są popularne wśród fotografików ze względu na pewne ich podobieństwo do grafiki. Wański jest nie lada mistrzem w tych dawnych technikach. Szczególną uwagę zwracają na wystawie krajozrazy i architektura, oddane w gumie i przetłoku. Z nowszych prac autora uderzają swą wysoką klasą i nieprzeciętnym kunsztem obrazy bromowe, które ze względu na indywidualny styl i opracowanie słusznie zalicza on do „bromografiki”. Technika współczesnego czysto fotograficznego bromu rozwijał on w wiele problemów fotograficznych, które dawniej dawało się opisać jedynie technikami szlachetnymi. Szczególnie dla obrazów Wańskiego jest miękkość i jednocześnie syntetyczność (zgodne z widzeniem naszego oka) ujęcie konturów w obrazie oraz podkreślenie jasności i czytelności kompozycji, odznaczające się u tego autora silnym uwydatnieniem motywu głównego oraz bagatelizowanie / częste przyćmienie drugorzędnych szczegółów. Czasem ten sposób podejścia do kompozycji robi wrażenie czegoś nienaturalnego (jak np. brudny śnieg na obrazach zimowych); po namyśle jednak każdy dojdzie do wniosku, że negacja pewnych szczegółów drugorzędnych — jak np. przyćmienie przedniego czy czasem nawet ostatecznego planu znakomicie ułatwia widzowi skoncentrowanie uwagi wokół jaśniejszego zwykle motywu głównego.

Dalsze prace zamieszczone na wystawie są również bardzo ciekawe i warte obejrzenia. Zauważyć się daje, iż postulat realizmu w sztuce wpłynął dodatnio tak na dobór tematyki jako też na czytelny sposób wyrażania się. Mimo indywidualności twórczych grupa poznaniaków fotografików ma sporo cech wspólnych, z których już na pierwszy rzut oka daje się zauważyć: używanie wyłącznie prawie techniki bromowej (stojącej na bardzo wysokim

poziomie technicznym), szczerze zamilowanie do ojczystego krajozrazu, zamilowanie do jasno sprecyzowanego światłocienia i staranność w kompozycji obrazu.

W kilku interesujących pracach K. Chmielewskiego wyróżniają się swym realizmem wdzienne ujęte sceny rodzajowe („W oczekiwaniu na targ” i „Pogawarki gospodyń”). Znany fotografik i autor znakomitych podręczników fotograficznych prof. Tad. Cyprian przykuwa uwagę widza uroczymi pracami latzańskiego krajozrazu zimowego (jak np. „Świeży puch” czy „W głębokim cieniu”) Młody fotografik K. Knapski dał kilka bardzo przyjemnych bromów, z których niektóre (jak np. „Zywiol” czy „Najstarszy kościół”) mają sporo zalet kompozycyjnych i walorowych. Urokiem szczerego liryzmu odznaczają się piękne obrazy Stef. Leszczyńskiego, którego np. „Portret pastora” czy miła każdemu poznaniakowi „Starówka poznńska” należą do dzieł wysokiej klasy. Tak samo serdeczne umiłowanie własnego regionu widać w doskonałych pracach Fr. Maćkowiaka i innych.

Fotografie teatralna reprezentuje Zenon Maksymowicz, bezkonkurencyjny pod względem odłania emocji teatralnych (sugestywne: „Srebrniki” i „Przemysław II”). Osobną klasę stanowią piękne prace braci Myszkowskich, odznaczające się świetną techniką bromograficzną i duży walorami świetlnymi. War-

to np. zwrócić uwagę na kapitalną głębię w „Przebudzeniu dnia” czy na pełen artystycznego rozmachu „Portret prof. Ciechańskiego” — Józefa Myszkowskiego. Szerokim oddechem odznaczają się obrazy morskie Maksymiliana Myszkowskiego — laureata wielu konkursów i nagród. Z kilku obrazów F. Obrapalskiej zadziwia swą prawdziwością i urokiem piękny „Kwiat z Korei” oraz „Studium w szalu”. Umilowanie przyrody można zaobserwować także u Wł. Ruta, którego „Lilie wodne” trafnie oddają urok flory wodnej.

Fotografią górską interesuje się obiecujący Feliks Sikorski. Niektóre prace, jak np. „Nad morzem mgieł” czy „Tędy szedł człowiek” pozwalają podziwiać wyniki już nieprzeciętne. Pewien wpływ Wańskiego można wyczuć w niektórych obrazach Jarosława Stanisławskiego („O zachodzie”, „Powrót z pola”) czy Jerzego Strumińskiego („Morze w Miedzyzdrojach”, „Murawianiec”). Trzeba jednak dodać, że młody, bardzo utalentowany Stanisławski i wytrawny mistrz bromu Strumiński mają także dużo cennych indywidualnych cech twórczych.

Zyczyć by należało poznaniakom grupie ZPAF, aby ich prace częściej można było oglądać, co da niewątpliwie społeczeństwu możliwość częstszego kontaktu z dobrymi dziełami sztuki fotograficznej i śledzenia jej stalego u nas rozwoju.

S. PORADOWSKI



W POZNAŃSKIM TEATRZE SATYRYKÓW

Jednym z najlepszych punktów programu poznańskiego Teatru Satyryków jest sztuka J. Ofierskiego i J. Jakiego — „Po linii klasowej”. Doskonale jest w roli kulaka St. Moskałowicz. Także Irena Charkowska z powodzeniem zastąpiła Sobolewską. Sztuka wywołuje uzasadnione oklaski publiczności. Na zdjęciu: od lewej — St. Kamiński — parobek, I. Charkowska — gospodyni, St. Moskałowicz — kulak.

Coraz dalej w głąb morza...

Już starożytni Grecy usiłowali poznać tajemnice głębin morskich. Budowali oni dla tych celów dzwony nurkowe, w których mogli opuszczać się pod wodę, a specjalne pompy wypychały następnie do tego osobliwego przyrządu powietrze. Zapiski wskazują, że podobne próby czynił również Archimedes. Wziął on sobie za wzór przemysłowego pajzaka-topika, który przebywając pod wodą, konstruuje z pajęczyny i mułu klość i przechowuje w nim troskliwie pęcherzyk powietrzny.

Kula na stalowej linie

W ubiegłym wieku udało się wielu wynalazcom zbudować pierwsze prawdziwe łodzie podwodne, co umożliwiło im zanurzenie się początkowo na głębokość 25 m. Ulepszenie poszczególnych elementów konstrukcji pozwoliło wkrótce opuścić się na większe głębokości. 60 m... 80 m... 120 m... 250 m... — były kolejnymi etapami, które osiągnięto w okresie od roku 1917 do 1948. Bardzo poważnego wyczynu dokonał w

bokość 4 050 m. Rekord ten do tej pory nie został pobity.

„Widzimy podmorskiego potwora“

Wyprawa w głąb morza obu Francuzów poprzedzona została wielkimi przygotowaniem. Od pierwszego momentu zanurzenia się pozostawali oni stale w kontakcie ze statkiem — bazą, pływającym na powierzchni morza. Umożliwiło to ekipie naukowej śledzenie nieprzerwanie przebiegu procesu opuszczania się batyskafu oraz przygód podwodnych argonautów. Na głębokości 1 500 m dali znać: „Morze jest zupełnie przezroczyste!“. Gdy osiągnęli głębokość 2 000 m, donieśli: „Morze jest zielone i wszystko w najlepszym porządku!“. „Zanurzyliśmy się głębiej!...“ — była ostatnia wyraźna wiadomość. Później głos telefonu zamilkł. Dopiero z momentem dotarcia do dna morskiego, telefon zaczął znów działać i zaniepokojona załoga statku — bazy usłyszała wreszcie: „Osiągnęliśmy głębokość 4 050 m i spoczywamy na dnie, włożonym pięknym, drobnopłazistym płaskim. Widzimy podmorskiego potwora, lecz na szczęście oddzielają nas od niego grube ściany naszej kabiny. W tej chwili spożywamy śniadanie i to z całkiem dobrym ape-

tytem. Wypiliśmy butelkę wina, a teraz zabieramy się do fotografowania otoczenia...!“.

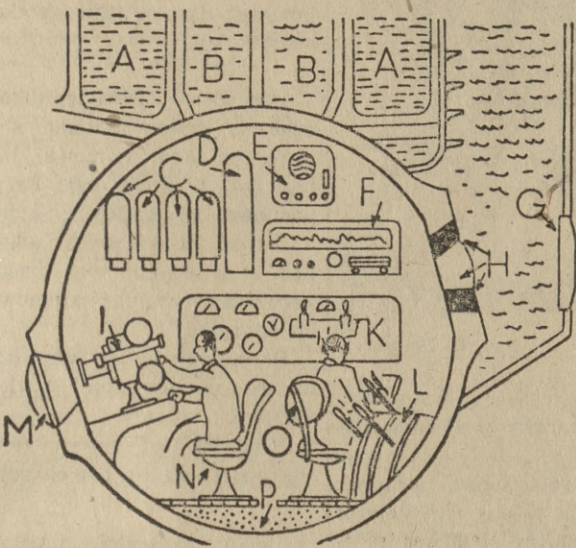
Głębie czekają na zdobywców

Ostatnie doniesienia prasowe wskazują, że wyczyn obu Francuzów nie daje uczynomu spokoju. Profesor Piccard wraz ze swym synem podejmuje nowe próby zanurzenia się i to niedaleko wybrzeży włoskich. Również Francuzi, Wilm i Houot chowają jakąś niespodziankę, przygotowując się w tajemnicy do podjęcia dalszych wypraw podmorskich.

Wciąż niepokojny i ciekawy umysł ludzki nie może więc zająć odpoczynku. Faktem jest, że jesteśmy dopiero u progu dotarcia do wielkich głębokości morskich. Zanim dalsi śmiało opuszczają się do największych głębin leżących u wybrzeży Filipin (10 793 m), potrwa zapewne wiele lat. Przed tym jednak trzeba będzie jeszcze rozwiązać skomplikowane problemy natury technicznej i naukowej.

M. J.

KABINA OBSERWACYJNA PODWODNEJ KULI. A. zbiorniki napelnione lekką benzyną. B. balast wodny. C. cylindry ze sprężonym powietrzem, służącym do wydalenia wody ze zbiorników oraz z wejściowego przedsionka słuzowego. D. cylindry z tlenem dla odświeżania powietrza w kabine. E. aparat radiowy do kontaktowania się ze statkiem-bazą. F. krótkofalówka do pomiarów głębokości — służąca jednocześnie do kontaktowania się ze statkiem-bazą na znacznych głębokościach. G. okienko z grubego szkła w przedsionku słuzowym. H. wejście do kabiny. I. kamera obserwacyjna. K. tablica rozdzielcza dla aparatury elektrycznej. L. lewary dla regulowania balastu w zbiornikach i w przedsionku.



roku 1948 pewien Włoch na jeziorze Como, zanurzając się w miniaturowej łodzi podwodnej na głębokość 400 m. To poważne osiągnięcie pobudziło innych do podejmowania dalszych prób, przy czym zaczęto stosować w budowie podwodnych łodzi kształt kuli, którą opuszczano w głąb na stalowej linie.

Balon prof. Piccarda

Nowy typ konstrukcji umożliwił człowiekowi osiąganie coraz znaczniejszych głębokości (porównaj załączony rysunek!). Jednakże przy tego rodzaju kulach stalowych istniało stale niebezpieczeństwo, że długa linia o potwornej wadze naraża zawieszoną kulę na łatwe zerwanie. Rozwiązaniu tej trudności poświęcił wiele lat swego życia słynny belgijski profesor Piccard. Po wielu latach wpadł on na myśl zastąpienia pełnej niebezpieczeństw kuli podwodnej „balonem podwodnym“. Oparł on się na doświadczeniu, jakie w roku 1930 uzyskał na statku stratosferycznym, kiedy to ułodził się na wysokość 16 000 m. Piccard skonstruował więc statek podwodny nowego typu, napędzając jego zbiorniki specjalną benzyną. Nowe założenia w budowie statku umożliwiły mu odrzucić niebezpieczną linę. Ponieważ zbiorniki z balastem zostały połączone ze statkiem przy pomocy urządzeń elektro-magnetycznych, więc uzyskano możliwość odciążenia ich w każdej chwili. To z kolei ułatwiło regulowanie samodzielnego zanurzenia się statku oraz jego szybkości w zanurzeniu.

Statek tej oryginalnej konstrukcji nazwano „batyskafem“ i już w roku 1953 osiągnął w nim Piccard głębokość 3 150 m. W kilka miesięcy później, jeszcze większego wyczynu dokonali dwaj konstruktorzy francuscy w rejonie Morza Śródziemnego. Byli nim inżynier Wilm oraz kapitan korwety Houot, którzy na swoim batyskafie „FNRS 3“ zanurzyli się na głą-

Na turystę, przemierzające go zarówno górskie szlaki jak i doliny wielu rzek bułgarskich, czyhają niezliczone zabytki przeszłości. Bułgarzy czczeni nimi przybyszów równie hojnie jak winogronami i pańryką.

Kiedy kierownictwo biura podróży „Balkanturist“ zaproponowało uczestnikom naszej wyprawy czterodniowy objazd autokarem po Bułgarii, wiedzieliśmy, że nie ominie nas „historyczne menu“.

I rzeczywiście: na trasie wiodącej z Włocławka przez Kolarowgrad, Tirnowo, Kazanlik, Hisarię, Płowdiw — do Sofii, niejednokrotnie przyszło nam zanurzyć się po uszy w oparach, wydobywających się — jak to mówią archeologowie — z „otchłani wieków“.

Krum czy Dariusz?

Zaledwie w parę godzin po ostatnim pożegnalnym spojrzeniu na digające w słońcu lustro Czarne Morze, autobus zboczył z głównego traktu i minawszy spokojną wieś Madara, jał wspinąć się w kierunku widniejącego w oddali masywu skalnych gór. Wkrótce potem motor się zasałał, trzeba było resztę drogi przejść pieszo. Gigantyczne schody ułożone z kamienia zawiadły nas pod olbrzymią, niemal prostopadłą sterczącą górą. Na płaskiej jak tablica szkolna skale ukazała się podobna jędrza naturalnej wielkości, przedstawiająca — jeśli wierzyć słowom przewodnika — jednego z pierwszych władców Bułgarii — chana Kruma.

Chan w uroczystej pozie z rozpuszczonymi włosami siedzi sobie na koniu, nie przecuwając nawet, że gapić się będą na niego polscy turyści. Szkoda, że pomniki nie mają do wód osobistych. Mielibyśmy pewność, że to rzeczywiście chan. Bo druga wersja legendy utrzymuje, że wizerunek przedstawia króla perskiego urządzającego starożytności urządził, jak wiemy, wiele wycieczek krajoznawczych, mógł więc i zapuścić się aż nad Dunaj.

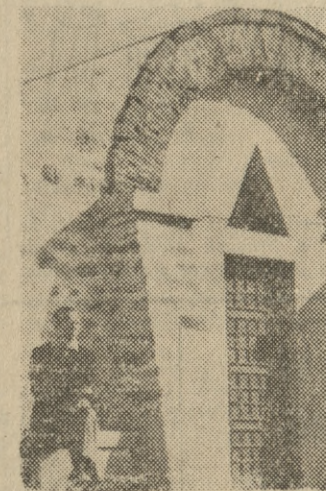
Na południe od Dunaju (6)

Z HISTORIĄ POD REKĘ

Ale dość już tych rozważań. Trzeba wsiadać i ruszać dalej. Dokąd? Obiecują nam jeden z dziwów Bułgarii.

Miasto-bajka

Na widok Tirnowa, starej stolicy Bułgarii, ogarnął nas nieklamany zachwyt. Tirnowo jest dla Bułgarów tym, czym dla nas Wawel. Nie wiadomo, co w nim więcej podziwiać: malowniczość położenia na zbo-



Autor u wejścia do grobu traskiego sprzed 23 wieków...

czach rzeki Jantry, podobnej do rozkręcającego się leniwie weża i przewijającej się przez miasto niezliczoną ilością zakrętów, czy też oryginalność zabudowy, przypominającej teatralną scenę. Miasto rozsłodziło się piętami i tarasami na urwistych zboczach. Aż dziw bierze, że stare domki ustawione amfiteatralnie jeden nad drugim nie runą za lada podmuchem wiatru w nurty rzeki.

Taras hotelu „Balkanturist“, gdzie zatrzymaliśmy się na noc, to wyznaczone miejsce dla desperatów. Za żelazną barierką — rozciąga się stumetrowa przepaść. — Na jej dnie — rze-

ka i tor kolejowy. Nikomu z nas jednak nie przychodziły do głowy samobójcze myśli. Przeciwnie — chcieliśmy żyć, patrzeć i podziwiać. Miasto obfituje w zabytkowe ruiny twierdz, pałaców i świątyń królewskich. Każda uliczka, każdy zakręt rzeki, każdy nieomal kamień tego uroczego miasta — to kawałek żywej historii.

Z Tirnowa, które żegnaliśmy z prawdziwym żalem, autobus skierował się na południe i po kilku godzinach drogi zaczął wspinąć się na pierwsze zbocza pasma Balkanu, masywu górskiego, przecinającego od wschodu do zachodu całą Bułgarię. Dziesiątkami serpentyn, wirających mostów, „zakrętów śmierci“ wzniesiliśmy się na wysokość 1 350 metrów. Peter Markow, sympatyczny kierownik „Balkanturista“, dokonywał cudów zręczności, aby w młeczej mgłę, pozwalającej widzieć na odległość piętnastu metrów, prowadzić nad przepaściami wielki autobus, w którego wnętrzu czterdziestu osób drżało z zimna i strachu. Wreszcie — najwyższy punkt drogi — przełęcz Szypka. Autobus stanął przed małym domkiem schroniska. Na frontowej ścianie cyfry 1878 — 1944. Myśleliśmy o tych dwóch datach, grzejąc się w małej, ciasnej kancianie schroniska. W tych oto górach 76 lat temu rosyjski generał Stoletow pomógł Bułgarom zadać ostateczną klęskę zabobornym wojskom tureckim. Chwałę tego zwycięstwa głosi wzniesiony na szczycie góry olbrzymi pomnik w formie stumetrowego czworokątnego obelisku.

Również w 1944 roku przełęcz ta była miejscem spotkania się żołnierzy dwóch bratnich narodów: partyzantów bułgarskich i radzieckich czernonarmieców, ścigających wojska hitlerowskie. Nic więc dziwnego, że Szypka i pomnik Stoletowa na szczycie, z którego przy pięknej pogodzie wi-

RZECZY ciekawe

Miliardy koni mechanicznych służą człowiekowi

„Koni mechanicznych“, to używana w fizyce i technice „jednostka mocy“. Jest to moc nie wielka, bo zdolność podnieść 75 kilogramów na wysokość 1 metra w ciągu 1 sekundy. Jednakże liczba ta nabiera innej wymowy, gdy rozważamy silniki cieplne (parowe — tłokowe, spalinowe, turbiny), silniki elektryczne, wietrzne, atomowe, rozwijające moc wyrażającą się kroczami „koni mechanicznych“. Z chwilą upowszechnienia się silników, ilość „koni mechanicznych“, jakimi rozporządza dane społeczeństwo, stała się rychło miernikiem jego siły wytwórczych.

Nowoczesne koparki, poruszane silnikiem o mocy zaledwie 100 „koni mechanicznych“, kopią równo na 4 m głębokości i na 1 m szerokości, posuwając się w terenie 4 metry na sekundę. Silniki wielkich okrętów transoceanicznych, to prawdziwe kolosy rozwijające moc ponad 100 tysięcy „koni mechanicznych“. Zrobimy powierzchowny szacunek wszystkich „koni mechanicznych“ pracujących dziś na całym świecie w służbie człowieka.

Oceniając liczbę wszystkich pierwotnych silników samochodowych, parowozowych, okrętowych i lotniczych na pół milarda na całym świecie, a moc każdego z nich przeciętnie, raczej skromnie, na 100 „koni mechanicznych“, otrzymamy zawrotną już liczbę 50 miliardów „koni mechanicznych“. Doliczając drugie pół milarda sil-

ników stojących (fabrycznych) o takiej samej przeciętnej mocy 100 „koni mechanicznych“ otrzymamy drugie 50 miliardów, czyli razem z poprzednimi już 100 miliardów „koni mechanicznych“, pracujących z woli człowieka i za człowieka na całym świecie!

Ponieważ ludność Ziemi wynosi około dwóch i pół miliarda osób, więc z prostego rachunku wynika, że na każdego z nas pracuje przeciętnie 40 „koni mechanicznych“. Koni żywych w liczbie około 40 milionów nie warto po prostu wobec tamtych 100 miliardów nawet brać pod uwagę. Biorąc zaś pod uwagę „silnik ludzki“, jakim jest znowu każdy z nas, z jego przeciętną mocą wynoszącą zaledwie jedną trzecią „konia mechanicznego“ (proponujemy naszym żonom i na szę młodzieży podność, tak jak to potrafi najmniejszy silnik, przez cały dzień 25 kilogramów na wysokość 1 metra w ciągu 1 sekundy...), otrzymamy śmiesznie liczbę zaledwie 750 milionów „koni mechanicznych“, rozwijalnych przez całą ludzkość (od niemowlęcia do — starca), powiedzmy nie dłużej zbiorowo niż przez... 1 minutę.

Te liczby niech dadzą pogląd na stopień mechanizacji współczesnego życia. Tłumaczą one też bezsens przerywania pracy fizycznej na „silnik ludzki“ i humanizm tej idei, która dąży do ograniczenia pracy człowieka tylko do — dozorcy pracującej za niego maszyny. (WR)

Po tamtej stronie Balkanu

Słynna „dolina róż“ po drugiej stronie Balkanu przywitała nas przykrym wiatrem, który sywał w oczy ostrym, piaskowym kurzem. Różane sady przekwitły już, przetworzając olejku różanego, jaką zwiędliłyśmy, była nieczynna. Spóźniłyśmy się o... trzy miesiące. Ale okolice Kazanliku — to nie tylko wielki, pachnący kwiatami gaj, pełen owoców i olejkowych woni. To również miejsce, noszące ślady najstarszych mieszkańców tej ziemi — plemienia Traków, pozostającego pod silnym wpływem kultury hellenistycznej.

Nie ma tego zlego, co by na... wierzach nie wyszło. Oto przy kopaniu fortyfikacji na jednym z podziemijskich wzgórz w r. 1944 natrafiono na grobowiec tracki z IV wieku przed



Płowdiw, widziany z wysokości jednego ze swych 7 wzgórz. (Zdjęcie autora)

naszą erą. I to jaki grobowiec! Kiedy ogląda się żywe w kolorach malowidła i freski na ścianach trudno wprost uwierzyć, że wykonał je artysta żyjący prawie dwa i pół tysiąca lat temu.

Zachowały się one do naszych czasów jedynie przez całkowite zasypianie ziemią, i brak dostępu powietrza. (Należałoby może metodę zasypywania ziemią stosować przy konserwacji niektórych naszych współczesnych dzieł plastycznych?). Kamienne obudowanie oraz specjalny system wentylacji chronią dziś bezcenne malowidła.

Nie dziwnego, że po kazanlickim spojrzeniu „w otchłań wieków“ mniej imponujące wydają się ruiny średniowiecznych murów w Hisarii, resztki starożytnego miasta Filipopol nad rzeką Maricą, czy bogata architektura domów, wewnątrz i kościołów starego Płowdiwu.

Raz jeszcze pod koniec podróży dotknęliśmy najstarszych kart historii bułgarskiej ziemi: w czasie spaceru po murach Sofii. Ale o tym jak i innych „sprawach i sprawkach“ bułgarskiej stolicy napiszemy następnym razem, na zakończenie naszego bułgarskiego „cyklu“.

JULIAN MIKOŁAJCZAK



Żywym „zabytkiem“ dawnych czasów jest niewątpliwie zaklęty wąż na przedmieściu Płowdiwu...

Po niewielkim miasteczku Wayland, niedaleko Bostonu gruchnęła pewnego dnia wieść, że 46-letnia nauczycielka, miss Anne Hale jest komunistką. Wprawdzie miss Hale, jako doskonały pedagog, cieszyła się po wszechmiejscu w całym kraju, nawet tych z grubszą forszą, ba, sama pochodziła z „bardzo dobrej rodziny” — ale zwolniono ją z pracy natychmiast.

Nie na tym jednak koniec. „Jeżeli w naszym miasteczku — huczało w Wayland — znalazł się, o zgrozo, jeden komunist, może ich być, więcej!” I oczywiście wyszukano, że kilku obywateli Wayland kiedyś, we wczesnej młodości, czytało Manifest Komunistyczny. Okazało się, że ci podejrzani ludzie czytali nie tylko Manifest, lecz również książki innych „wywrotowych” pisarzy, jak: Platona, św. Tomasza z Akwinu, św. Augustyna i niejakiego Williama Shakespeara...

Nie więc dziwnego, że jednemu z kongresmanów z Ohio, mr. Wayne L. Haysowi, udało się zdrowo zakpić ze specjalnej komisji Kongresu. Przeczytał on trzy cytaty i poprosił o komentarz co do ich charakteru. Niejaki Thomas Mc Niece, mąż uczony w zwalczaniu komunizmu, oświadczył bez namysłu: „Wszystkie te cytaty są bardzo podobne do literatury komunistycznej.”

„Cytaty były wyjątkami z pism papieża Piusa XI”

Bezpartyjny przodownik Grzybek, lat trzydzieści, jedno dziecko, bez nałogów, powracał do domu wieczorem w czasie szczytu jesienno-zimowego. Był markotny, ponieważ pierwszy raz od początku pracy w spółdzielni „Przodujący Kamasz”, w której podjął hasła: „Ja nie wypuszczę braku”, „Mój zółdel świadczy o mnie”, „Nie będę pracował tępych nożem” i „Będę pracował ostrym nożem” — nie przekroczył normy. Przodownik pluł sobie w twarz, nie szczędząc obelżywych epitetów. W dodatku bolał go ząb, postanowił więc się zalać i kupić ciwartkę wódki, aby wypróbować przez pokolenia sposobem zatruć bolący organ. Mijając słup reklamowy, zatrzymał się nagle pod wpływem jakiejś wewnętrznej siły. Mimo woli rzucił mu się w oczy duży napis: „LECZ ZĘBY, KAŻDY CHORY ZAB UTRUDNIA PRZEKROCZENIE NORMY”.

Grzybek przeczytał raz, drugi i nie namyślając się długo, poczuł, że dokonał się w nim przełom. Zamiast do

Feliks Derecki

sklepu monopolowego, poszedł w stronę Ośrodka Zdrowia.

W poczekalni siedzieli ludzie z opuchniętymi szczękami. Pewna obywatelka spoglądała na Grzybka z odrobiną kokieteryj w prawym oku, które na skutek dużego



Rys. Zb. Lengren

obrzęku wyszło nieco na wierzch.

— Ta, to musi być zatwardziały grzesznik — wyszeptali i odsunali się od niej z niechęcią. — Ciekawe, od jak dawna nie przekracza normy?

Z gabinetu wybiegł gwałtownie pacjent z ustami pełnymi gipsu.

— Panie doktorze — wybełkotał — może szklaneczkę wody do poplukania.

— Jeszcze czego — zachnął się lekarz. — Nie chciał pan się zgodzić na wyrwanie, to płucz pan sobie usta pod kranem. Muszę wykonać dzienne osiemnaście zabiegów efektywnych, a leczenie zębów nie wchodzi w rachubę. Tylko ekstrakcja, plomba i zabieg chirurgiczny. Tak postanowiono w Wydziale Zdrowia. To żadna przyjemność zaskazywać sobie na miłano pracownika nieproduktywnego.

Lekarz obejrzał ząb Grzybka i chowając ręce za siebie, powiedział przymilnie:

— A kuku, widzi pan te ptaszki?

Grzybek spojrzał odruchowo w okno, nie dostrzegł jednak żadnych ptaszków, natomiast poczuł nieprzyjemne szarpnięcie. Zakrwawiony ząb tkwił między kleszczami.

— Panu dam wody do poplukania, bo pan to przynajmniej przyczynił się do wykonania przeze mnie planu. Tak ciężko teraz pracować, ludzie nie zgadzają się na ekstrakcje. Leczenia im się zachciewa.

Na tym zabiegu nie skończyła się udręka przodownika. Zaczęły go boleć wszystkie zęby, więc znów odwiedził Ośrodek Zdrowia.

Lekarz przywitał go z otwartymi ramionami, troskliwie sadzając na fotelu. Następnie schował ręce i tak jak przedtem wyczarował piękny uśmiech na twarzy.

— A kuku, widzi pan te ptaszki?

— Tylko nie ptaszki, tylko nie ptaszki — zaryczał z bólu Grzybek. — Niech mi pan zaplombuje ząb.

Lekarz nagle posmutniał i nie ukrywając złości powiedział:

Fraszki POZNAŃSKIE

O pewnej poradni

Pacjentki poradni dla kobiet przy ul. Madalińskiego po kilka dni z rzędu oczekują nadaremnie na przybycie lekarza.

Tej poradni dziwny zwyczaj się powtarza
Wszyscy co dzień są na miejscu —
brak tylko lekarza.

K. D.

Hasło

W poznańskich tramwajach ukazały się hasła propagujące prace w LPZ, których rymy wołały o pomstę do nieba. Dwie pierwsze zwrotki według autentycznych wzorów.

Jeśli rozmyślasz: — Czym zostanę?
Chcę by nie zbrakło ci miodu, masła...
zasil nas twórczo, zostań grafomanem
i rymuj podobne hasła!

R. P.

— Trudno, zawłódnę się. Myślałem, że jest pan porządnym człowiekiem. Dobrze, mogę zaplombować. Hi, hi, może to i lepiej.

I rzeczywiście przedwcześnie zaplombowany ząb trzeba było usunąć.

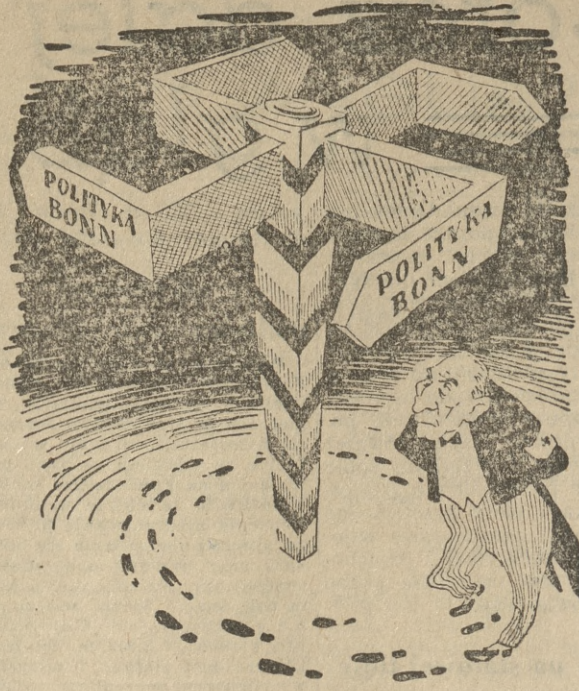
Dentysta szalał z radości.

— To mi przynosi podwójną korzyść — zarechotał. — Tylko w taki sposób mogę wykonać osiemnaście zabiegów efektywnych.

Kiedy zaś uporał się z ostatnią ekstrakcją, wyraził żal, że pacjent nie ma więcej zębów i na pożegnanie serdecznie go uściśkał.

A Grzybek, wracając do domu, wieczorem w czasie szczytu jesienno-zimowego, przeniknąwszy do cna perfidny system gabinetów dentystycznych, kłął na czym świat stoi.

(„Szpilki”)



(wg „Przyjaźni” rys. H. Derwich)

BŁĘDNE KOŁO

GDZIEŚ W EUROPIE lub gdzie indziej

Czy znacie historię o globusie? Stał sobie globus, nie właściciel na półce z książkami, oświetlony z jednej strony blaskiem z opodal stojącej lampy. Przed półką z książkami, w wygodnym fotelu rozparty, drzemał, samotny w tym pokoju, człowiek w ciepłym szlafroku.

W tej chwili zbudził się (człowiek, nie szlafrok). Zerknął na globus...

Światło padało na 1/6 jego powierzchni, na terytorium Związku Radzieckiego. Zawartość szlafroka uniosła się: nożyczki, biały papier, klej... I po chwili nie było już tej polaci globu, która rozciągała się od Bugu aż po Władywostok. Właściciel globusu zaklecił „to wszystko” papierem.

Przyjemnie jest teraz w fotelu. Jak dobrze: oczy przykryte...

Pan pułkownik zamawia je denastą butelkę „Veuve Cliquot” (tylko ten szampański uznaje). Podnosi kielich w stronę panny de Poraj (6,5 tysiąca morgów, 6 tartaków, 14 folwarków, tyleż domów



Rys. H. Derwich

czynszowych w Warszawie, dom towarowy w Poznaniu...).

— Pułkowniku, takie mam troski; papcio mówi, że mi bar dziej do twarzy w kolorze „aqua marina”. Mama przeciwna, powiada, że tylko rezedza, koniecznie rezedza.

Pan pułkownik całuje pannę de Poraj w rączkę.

— Madame, najciężniej wyglądasz w kolorze mojej miłości, moja, moja...

Garçon, „Veuve Cliquot”.

Lieber Heinrich!

Jak ci już pisałam, nie tu się w tym Hamburgu nie dzieje. Chyba to, że przedwcześnie, jako dawna Blitzmädel, wzięłam udział w tygodniowym zebraniu starych kompanów z SS-Totenkopfstandarte! Poszłam w towarzystwie Konrada, znasz go przecież.

Tuż przed „Białym Jeleniem” (to jest miejsce naszych zebrania) Konrad spotkał takiego, wiesz, komunistę, który siedział za Hitlera razem z Konradem w Oranienburgu; oczywiście „ten czerwony” zbieł dośłownie z przerażenia.

Konrad śmiał się, gdy wspomniał te czasy, kiedy tak sobie używał, jako dozorca w obozie, na tym właśnie spotkany typku...

Panowie! Przystępujemy więc do głosowania nad stosowaniem broni atomowej, blo logicznej i chemicznej. Przypominam, że państwa, które próbować będą przeszkodzić nam w stosowaniu tych broni, przywołamy bombą atomową do porządku.

Przystępujemy do głosowania. Kto za wnioskiem? A więc wszyscy.

Panowie! Oto znowu zwycięstwo naszej demokracji.

Ciepło z opodal stojącej lampy wysuszyły klej i papier odpadł z globusu. Zawartość szlafroka rozchyliła powieki.

Panie kochany, czy naprawdę pan tak bardzo pragnie, by te wizje stały się znowu rzeczywistością?

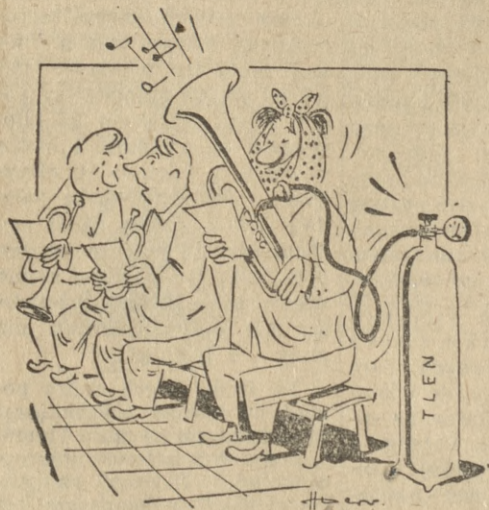
Jeśli tak, to jedno pytanie: ile pan posiada akcji zbrojennych koncernów? (N.)



Utarł się już zwyczaj w tradycję bogaty, że wieść o imprezach przynoszą plakaty. Chciałbym gdzieś na przykład

rozerwać się godnie, ubrać ładny krawat, wyprasować spodnie, słowem — ciało całe tęskni do kultury. — I czytamy: jest koncert! Ale gdzie, o której? Spróbuj, przyjacielu, może ty potrafisz czytać aktualnie z a-leplony afisz? Tu kawał plakatu głosi: „UNIA nasza...”, potem: „...tańczy w sali Coll. Minus...”, „Czardasza”. A dalej wprost trudno nie utracić głowy: „Dziś w Operze taniec Malw” — „motocyklowy...”. Możesz się dowiedzieć też, że: „Zespół Chiński wystąpi w koncercie...”, „...skrzypcowym Umieńskiej” oraz że: „Blacharzy poszukuje ŁAGA...”, „...do sztuki „Artosu”...”, „Jak zwykle — balagan!”. Tak więc pytamy dzisiaj: (zalety mi na tym) Czy dla jasnowidzów wiesz się plakaty?

R. PODLEWSKI



— To nasz najlepszy... Mimo choroby nie opuścił ani jednej próby!

rys. H. Derwich

4 LEKCJE GRZECZNOŚCI

(dla niektórych pań)

Często jeździ człek tramwajem — stąd kłopoty są niemiłe: Raz nie miała gdzie się panna — z miejsca miejsce jej zrobiłem.

Dziewczę — może lat dwadzieścia — owszem — zgrabne, wzór piękności. Miał „dziękuję!” — zakwiliło: „Nie mam z panem przyjemności!”

Zgodnie z hasłem „bądź rycerski!”, co mi weszło w krew i kości — gdy zabrakło miejsca pani — wstałem z prostej uprzejmości.

Miała może lat trzydzieści (ja wiek kobiet w lot wybadam!). Miał „dziękuję!” — wycedziła: „Zbytek łaski — już wysiadam!”

Czasem siada człek zmęczony, lecz być nie chce „zimnym draniem”: Gdy niewiasta przy mnie stała, znowu wstałem z poważaniem.

Miała może lat czterdzieści, twarz pokrytą grubo różem. Miał „dziękuję!” — odmrugnęła: „Osiem godzin siedzę w biurze!”

Zbieram, jeżdżąc tramwajami, tych przykładów kopy całe. Widzę: stoi siwa babcia — przez szacunek się zerwałem.

Miała może lat sześćdziesiąt i czcigodną, starczą postać. Miał „dziękuję!” — rzekła hardo: „Jeszcze młoda — mogę postać!”

Więc, choć zwykle grzeczny jestem, tu zawołam: „Cóż do diaska?! Czy kobietom z miłym gestem nie do twarzy — i nie łaska?”

Choć się któraś z was zaperzy, dam niejednej radę donnie, że grzeczności nie należy tak pojmować jednostronnie!”

